

Moje perypetie z tzw. władzą ludową przed i w czasie stanu wojennego

Streszczenie

Artykuł prezentuje wspomnienia Czesława Świerczyńskiego.

Summary

The article presents the memories of Czesław Świerczyński.

Słowa kluczowe: stan wojenny, Myszków, internowanie

Keywords: martial law, Myszków, interment

Na wstępie pragnę usprawiedliwić rozszerzenie moich wspomnień związanych z wprowadzeniem stanu wojennego o wydarzenia ten stan uprzedzające. Przecież władza ludowa nie za wygląd mnie internowała, lecz za to, że się jej przeciwstawiłem, że miałem inne zdanie na temat żywotnych spraw Polaków, polskich rodzin, Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Uznałem za konieczne ukazanie tych moich działań, które były zgodne z prawem, ale władzy ludowej ze względów światopoglądowych się nie podobały, co je skłoniło do wydania decyzji o internowaniu mnie przez 12 miesięcy bez dwóch dni, czyli najdłużej ze wszystkich Myszkowian. Miałem też okazję zaznajomienia się z sześcioma ośrodkami odosobnienia, czyli więzieniami, pewnie dlatego, że nade wszystko ceniłem prawdę i wolność. Przez wszystkie lata mego dojrzałego bytowania byłem nieprzejednanym wrogiem oszustów i satrapów, różnej maści sekretarzy, dyrektorów, dygnitarzy niepoczuwających się do traktowania zwykłych ludzi z szacunkiem należnym każdemu człowiekowi. Polonista to w końcu uczeń Kochanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida, Sienkiewicza, Prusa, Reymonta, Żeromskiego, Herberta i wielu innych mistrzów pióra, którzy uczyli szacunku do osoby ludzkiej. Jako polonista i jednocześnie wychowawca młodzieży nie mogłem sobie pozwolić na sprzeczność między głoszonymi przeze mnie poglądami, prawdami a moim postępowaniem, zachowaniem, postawą.

1 Czesław Świerczyński, emerytowany polonista i katecheta, członek Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, Konfederacji Polski Niepodległej.

Miałem to szczęście, czy raczej nieszczęście, że trafiłem w swej karierze na osoby negatywnie bardzo wyraziste. Na bufona i tępą autokratę, który nie miał szacunku ani do naszej nauczycielskiej profesji ani do słabszej konstrukcji psychicznej naszych koleżanek. Ponieważ nie był w stanie nas – mnie i Jasia Blecharczyka zastraszyć, więc się wyżywał na naszych małżonkach i tych koleżankach, które nas wspierały. Ten czas to była wspaniała szkoła życia. A naród po pierwszej pielgrzymce Ojca Świętego Jana Pawła II uwierzył w swoje siły i przeciwstawił się władzy ludowej. A władza ta udawała tylko, że decyzje „Solidarności” akceptuje, jako że potrzebowała tylko czasu, by rozbudować w nim sieć agentury, poprzez którą postanowiła ponownie nad nim zapanować i w końcu uwłaszczyć się na naszym narodowym majątku.

Przejdźmy jednak do moich dziejów, które obfitowały w wydarzenia zaskakujące, wynikające z inspiracji tzw. losu, czyli Opatrzności Bożej oraz mojej życiowej niezaradności, braku roztropności, lecz zawsze były one powodowane szlachetnymi pobudkami. W 1974 roku w tzw. „Zawodówce” z trzech szkół ponadpodstawowych utworzono Zespół Szkół Zawodowych (ZSZ) pod dyrekcją Tadeusza Tarłowskiego. W związku z tym utworzono w naszej szkole odrębne Ognisko ZNP (Związku Nauczycielstwa Polskiego). Należało zatem wybrać nowy zarząd i jego prezesa. Nikt nie chciał zostać prezesem, bo to była funkcja społeczna przysparzająca dodatkowych kłopotów. Wobec tego władze szkoły sztucznie przedłużały posiedzenie Rady Pedagogicznej aż do wybrania pełnego składu Zarządu. Codziennie wtedy dojeżdżałem do Mirowa, więc czasu na takie dodatkowe imprezy nie miałem ochoty poświęcać. Mimo to zgłoszono moją kandydaturę na prezesa Zarządu Ogniska. Kolejne autobusy odjeżdżały nauczycielom, a ja nie chciałem się zgodzić na kandydowanie. W końcu koleżdy nauczyciele podczas przerwy powiedzieli mi wprost: „Czesiek, nie bądź świnią, zgódź się.” I się zgodziłem po to, by być tylko figurantem, dla świętego spokoju, który wkrótce miał się skończyć wojną! T. Tarłowski podsunął mi do podpisania zwolnienie kol. Wojtka Krykwińskiego z pracy w naszej szkole, bo to tylko formalność - mówił - gdyż on przenosi się do innej szkoły. Uwierzyłem i podpisałem. Jakież było moje zdziwienie, gdy następnego dnia wieczorem do drzwi naszego mieszkania w Myszkowie zadzwonił tenże Wojtek, który powitał mnie słowami: Ty hu... Wyjaśniliśmy sobie wszystko.

Następnego dnia we władzach ZNP wycofałem swoją zgodę, ale na tym nie koniec. W kilka dni przeczytałem niemal wszystkie akty prawne dotyczące nauczycieli i ich uprawnień. Mało tego, zwołałem zebranie naszego Ogniska ZNP, na którym T. Tarłowskiego nazwałem oszustem oraz wymieniłem kilkanaście faktów łamania przez niego obowiązującego prawa nauczycielskiego. Szum

był na cały powiat. Dałem mu czas miesiąca na naprawienie wymienionych nieprawidłowości, pod groźbą powiadomienia o nich Kuratora Oświaty i Wychowania w Częstochowie. On jednak poszedł na konfrontację! Wysłaliśmy zatem pismo do Kuratorium w Częstochowie podpisane przez cały Zarząd ZNP wzbogacone o opis aktów niegospodarności autorstwa T. Tarłowskiego.

Wezwano mnie jako prezesa ZNP do Kuratorium, gdzie czekała mnie cała zgraja różnych notabli z I sekretarzem KP PZPR w Myszkowie, Kuratorem Oświaty i Wychowania oraz T. Tarłowskim, którzy przez ponad godzinę wrzeszczeli nade mną, a ja spokojnie wyłuszczałem im niezbitcie, że ten oto siedzący pośród nich T. Tarłowski nie powinien dalej pełnić swojej funkcji, ponieważ dopuścił się licznych aktów łamania obowiązującego prawa, więc jeśli tylko władze oświatowe odwołają go z pełnionej funkcji, nauczyciele ZSZ będą gorliwie wypełniali swe nauczycielskie obowiązki. Po tym moim wystąpieniu powstała wrzawa nie do opisania, ale gdy zobaczyli, że niczego nie wskórają, podziękowali mi za przybycie i pożegnali się ze mną wszyscy przez podanie ręki z wyjątkiem T. Tarłowskiego.

Potem były nasze pisma do Ministerstwa Oświaty i Wychowania, do Zarządu Głównego ZNP, a nawet do Komitetu Centralnego PZPR. Natomiast nasi adwersarze wyżywali się na naszych małżonkach (na Czesławie Świerczyńskiej i Krystynie Bleharczyk) oraz na wszystkich tych koleżankach, które nas popierały. Próbowano nas też wyeliminować z gry poprzez podważenie praworządności naszego wyboru do władz związku. Dyrektor Eugeniusz Wolak na ogólnym zebraniu wszystkich członków Ogniska ZNP zapytał zebranych: „Jak to się stało, że Jan Bleharczyk wszedł do Zarządu Ogniska?”. A przecież to on właśnie kilka miesięcy wcześniej usilnie nakłaniał Jasia, by zechciał wejść do Zarządu! Dopiero Krysia Surma – żona ówczesnego wicedyrektora Liceum Ogólnokształcącego - przemówiła do sumień zebranych, przypomniawszy wszystkim okoliczności tamtego zebrania.

Pojechaliśmy w końcu po wsparcie do Zarządu Głównego ZNP, do Warszawy, a tam się okazało, że większość tych wysoko postawionych związkowców, to dyrektorzy szkół! Był to zatem związek pracodawców a nie związek zawodowy pracowników oświaty. Tam też „koledzy związkowcy” zamiast nam przyjść z pomocą, zruggedli nas i zapewnili, że pierwsi wystąpią przeciw nam – wicherzycielom!

Ponieważ opisaliśmy całą naszą sprawę także w liście skierowanym do KC PZPR, więc w 1978 roku zostaliśmy wezwani przed oblicze samego I sekretarza KW PZPR – Grygla, ja z koleżankami: Zosią Okraską i Czesią Brych. Przyjął

nas bardzo szczerze, po partyjnemu, zwracając się do nas słowami: „Wy hu..! Jak dalej będziecie pisać, to wam, ku..., kości połamiemy!” Ponieważ zwrócił się ów I sekretarz KW PZPR tymi słowami do moich koleżanek, co nijak do nich nie pasowało, choćby ze względu na ich płęć, więc roześmiałem się od ucha do ucha, a on wpadł w furię. Ryczał jak zwierzę, zaś wszyscy zebrani tam towarzysze mieli łby pospuszczane. Gdy przestał ryczeć, zwróciłem mu grzecznie uwagę, że Konstytucja PRL gwarantuje nam prawo pisania skarg do władz zwierzchnich, na co ten ryknął: „Ja wam ku.. dam konstytucję!” Na tym skończyła się nasza wizyta w KW PZPR w Częstochowie.

W konsekwencji urządzono wbrew prawu, bo przed upływem kadencji ponowne wybory do Zarządu Ogniska, które pod presją wszystkich czynników władzy przegraliśmy. Natomiast T. Tarłowski musiał opuścić naszą szkołę. Poszedł do Technikum Rolniczego w Będuszu. Mnie zaś nowy – stary dyrektor Zenon Młynarski powiedział, że nie mam co szukać w jego szkole. W kilka lat później, w 1983 roku to samo powtórzył Jasiowi Bleharczykowi, który zatrudnił się, podobnie jak ja w Hucie „Katowice”. W Hucie „Katowice” zatrudniłem się na stanowisku kierownika Zakładowego Centrum Kulturalno-Oświatowego (ZCKO). Od sierpnia 1979 do sierpnia 1980 roku niewiele zrobiłem, parę imprez i remont pomieszczeń.

W 1979 roku przybył do Polski nasz rodak – Ojciec Świąty – Jan Paweł II. Byłem wśród entuzjastycznie Go witających Polaków na Jasnej Górze (dwa razy) oraz w Krakowie. Częstochowa jako miasto wystrojone swoim nie zachwycała, natomiast Kraków przeszedł wszelkie wyobrażenia człowieka wychowanego w „komunie”! Flagi papieskie były wszędzie, nawet na blokach kilkunastopiętrowych, nawet na budynkach instytucji państwowych. W Krakowie po raz pierwszy poczułem się naprawdę wolny. A na Błoniach Krakowskich było nas grubo ponad trzy miliony. Morze ludzi. Bogu Wielkiemu niech będą dzięki, że mnie wyprowadził miłosierną dłońią z głupoty ateizmu przed wyniesieniem Karola Wojtyły do godności papieskiej. Kto wie, czy przez głupią przekorę nie byłbym trwał w swoim ateizmie i bez entuzjazmu odnotowywał kolejne wizyty papieskie w ojczyźnie.

W sierpniu 1980 roku wyjechaliśmy z Zuzikiem moją córką na rodzinne wczasy zakładowe do Łeby. Chcąc jej pokazać Gdańsk, katedrę w Oliwie zawędrowałem również pod bramę Stoczni Gdańskiej. By otrzymać jakiś ich biuletyn, zostawiłem Zuzika na ławce opodal i kazałem cierpliwie czekać, bo pod bramą był straszliwy ścisk. Ale wkrótce, nim cokolwiek zdobyłem odwołała mnie jakaś pani do zapłakanej Zuzi. Takie było jej pierwsze spotkanie z wielką polityką. Materiały jednak zdobyłem następnego dnia, ale wtedy byłem już bez mojego Szczęścia.

Po powrocie z wczasów od razu zaangażowałem się w działalność powstającego w Hucie „Katowice” Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, a zwłaszcza w pisanie artykułów do „Wolnego Związkowca” redagowanego przez Zbyszka Kupisiewicza. Szefem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego przy Hucie „Katowice” został Andrzej Rozpłochowski. Po wyjściu z internowania i więzienia wyjechał do USA, do niedawna mieszkał w Sacramento, obecnie w Katowicach Zawodziu. Do prezydium MKS-u został dokooptowany Kazimierz Świtoń – członek Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz założyciel pierwszych w Polsce Wolnych Związków Zawodowych. Lecz niestety, zamiast pomocy od niego, prezydium MKZ-etu doczekało się z jego strony działań dywersyjnych i intryg do tego stopnia, że wysłano mnie w listopadzie do Gdańska, bym porozmawiał z Lechem Wałęsą, Jackiem Kurońem, Anną Walentynowicz, Andrzejem Gwiazdą, Bogdanem Borusewiczem o postępowaniu K. Świtonia w naszych strukturach związkowych.

Najpierw przyjął mnie w MKZ w Gdańsku A. Gwiazda. Nie znał on jednak K. Świtonia, więc polecił mi się spotkać z J. Kurońem, który korzystał z gościny w mieszkaniu A. Walentynowicz. Wszedłem do kuchni, a tam nieprzeliczona gromada butelek po wódce, pośród której można się było poruszać, jak bocian w sitowiu. Pan Jacek zadawał mi mnóstwo pytań nie dając żadnych rad, a przy tym nieustannie palił. W końcu spostrzegł się, że już zaczął się Dziennik Telewizyjny, więc z zapalonym papierosem ruszył do salonu wyłożonego parkietem, gdzie stał telewizor. W trakcie oglądania dziennika dopalił mu się papieros, a że nie było w pobliżu popielniczki, bez żenady zgasił go na parkiecie przydeptując butem niedopałek. Gdy po latach opowiedziałem to senatorowi i zarazem profesorowi Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach – Stanisławowi Żakowi, ten odparł, że J. Kuroń to samo czyni z niedopałkami w salach sejmowych na marmurowej posadzce. Noclegu użył mi B. Borusewicz, który niewiele nam doradził, ale wyposażył mnie w dość bogatą literaturę z drugiego obiegu i sporo nagadaliśmy się na tematy wspólnie nas interesujące z historii i literatury. Rano byłem umówiony z L. Wałęsą. Przyjął mnie ze znacznym opóźnieniem, wskazał mi miejsce i sam wcześniej usiadłszy nogi położył na stole! Włos mi się zjeżył na głowie, przez chwilę zmagalem się z myślą, by uczynić to samo, ale nie chciałem ryzykować fiaskiem mojej misji, więc usiadłem i pokrótce starałem się przedstawić problem, lecz pan Wałęsa przerwał mi, by wygłosić tyradę o wszystkich swych wielkich dziełach, oraz że zrobiłby jeszcze więcej gdyby mu nie przeszkadzali. Najczęstszym słowem w tej przemowie był zaimek „ja”. Wszedłem stamtąd przygnębiony, zdałem sobie bowiem sprawę, że człowiek tak pyszny a przy tym prostak może nas niestety wyprowadzić na manowce.

Zimą przybył na Śląsk – do „Spodka” L. Wałęsa i zajął miejsce w prezydium z K. Świtoniem i naszym A. Rozpłochowskim. To był ostatni triumf Kazia Świtonia. Jego nieustanne intrygi, rozpuszczanie mających skompromitować Andrzeja informacji i to, jak się okazało, powielanych na naszym sprzęcie, doprowadziły wreszcie do tego, że Andrzej zdecydował się na przeprowadzenie głosowania wśród delegatów, dzięki któremu miało się okazać, ilu delegatów popiera A. Rozpłochowskiego a ilu K. Świtonia. **Liczyliśmy na wygraną Andrzeja, ale niewielką różnicą głosów. Wyniki głosowania okazały się dla nas wielkim radosnym zaskoczeniem: na ponad 500 delegatów tylko kilkunastu głosowało za K. Świtoniem!** Decyzją Delegatów K. Świton został usunięty z prezydium MKZ. A wydawało się, że tak wielu delegatów go popiera, że wręcz stanowi zagrożenie dla Andrzeja. **Z tego głosowania wyciągnęła daleko idące wnioski ubecja, która poprzez swoich TW zrobiła wszystko, by A. Rozpłochowski na zjeździe zjednoczeniowym nie został wybrany na przewodniczącego Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ „Solidarność”.**

Jeszcze przed listopadem napisałem artykuł pt. „Jak zniszczyć naród”, którego po raz pierwszy nie puściła cenzura w jakimkolwiek czasopiśmie, co zostało zaznaczone pod wymienionym tytułem w nawiasie kwadratowym, że cały artykuł nie został dopuszczony do druku przez cenzurę. Kiedy jednak udało mi się wydrukować ów artykuł w gazecie „Solidarność” Kaliskiej, wówczas i „Solidarność” Mazowska i „Wolny Związkowiec” też ten artykuł opublikowały. A było w nim napisane, że jakieś ciemne siły w Polsce realizują szatański plan zniszczenia polskiego narodu! Za ten artykuł oraz za artykuły ukazujące mechanizmy zniewalania narodu poprzez tzw. „haki” jakie sprawujący władzę wówczas z Moskwy, usiłowali zniszczyć nasz naród, a następnie opanować zajmowany przez niego obszar między Odrą a Bugiem. **Za te artykuły zostałem zakwalifikowany do elitarnej grupy internowanych.**

19 marca 1981 roku doszło do tzw. „prowokacji bydgoskiej”, kiedy to milicja pobiła w sali sesyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy działaczy „Solidarność” z Janem Rulewskim na czele. Z tego powodu miał się odbyć strajk generalny okupacyjny. W związku z tym zarząd MKZ Huty „Katowice” miał się przenieść na czas strajku generalnego do Huty „Baildon”. Tak się też stało. Spaliśmy na przysłowiowym styropianie. Jakież było nasze rozgoryczenie i gniew, gdy po kilku dniach takich przygotowań, gdy cały naród był gotów do walki o należne mu prawa – dowiedzieliśmy się z Dziennika Telewizyjnego, że L. Wałęsa bez konsultacji z Prezydium Związku podjął decyzję o odwołaniu strajku generalnego. To był pierwszy wyraźny sygnał potwierdzający słowa

A. Walentynowicz, że L. Wałęsa jest kapusiem i zdrajcą, nie tylko prostakiem i kabotyńcem. Wróciliśmy do swoich zajęć, gdyż 7 kwietnia miał się ukazać pierwszy numer „Wiadomości Katowickich”, dziennika NSZZ „Solidarność” ukazującego się do 11 grudnia włącznie. Redaktorem naczelnym był pan Andrzej Czuma.

W maju lub w czerwcu odbyła się pielgrzymka ludzi pracy do sanktuarium Matki Bożej z Lourdes w Katowicach Panewnikach. Całe to wydarzenie z udziałem Biskupa Herberta Bednorza, prowincjała franciszkanów - Damiana Szojdy oraz całego prezydium MKZ Huty Katowice zostało przeze mnie zorganizowane, co mi zasugerowali: o. Oskar Puskiewicz, Joasia Jarzębińska oraz Kaziu Trojan. W ramach tej pielgrzymki ogłosiliśmy zamiar budowy pomnika dzieci nienarodzonych, które zginęły z woli swoich rodziców, a pod presją gomułkowskiej ustawy aborcyjnej z 1958 roku. Podczas tej uroczystości po raz pierwszy na Górnym Śląsku pojawiły się w dużej liczbie flagi z charakterystycznym napisem „Solidarność” sugerującym demonstrujący tłum pod polską flagą. Produkcję tych flag było mi dane zorganizować, za co później ubecja poprzez swoich konfidentów w „Solidarności” próbowała mnie zniszczyć, sugerując że produkcja była nielegalna, nieopodatkowana, ale ja miałem i mam do dzisiaj dokumenty poświadczające uczciwość moich działań. Te działania wspierał nasz szef – A. Rozpłochowski, mający wówczas wykształcenie zasadnicze w zawodzie mechanika samochodowego, ale był to człowiek zawsze skromny i nie kapuś, jak L. Wałęsa.

Niestety, potem przyszedł sierpień i zjazd zjednoczeniowy, na którym wycięto Andrzeja, a jego miejsce zajął Tadeusz Jedynek, człowiek antykościelny, niewykazujący jakiegokolwiek zrozumienia dla ratowania życia nienarodzonych. Wróciłem do pracy w Hucie „Katowice” na stanowisko jakiegoś referenta, gdyż po rzuceniu legitymacją partyjną nie mogłem już być kierownikiem ZCKO.

13 grudnia o godzinie 24 z soboty na niedzielę zapukali do naszego mieszkania smutni panowie, którzy przedstawili się jako milicja. Ja im odpowiedziałem, żeby sobie przyszli o 6 rano w poniedziałek, gdyż to jest właściwa pora na załatwianie spraw służbowych. Oni na to, że wyłamią drzwi. Poprosiłem ich o chwilę czasu, by się przyodziać. Ucieczka nie miała sensu z III piętra w grudniu, więc postanowiliśmy wpuścić ich, tym bardziej że małżonka była z Bożysiem przy nadziei, a sześciolatnia Zuzia spała w średnim pokoju. Panowie pozwolili mi się spokojnie ubrać, nawet mogłem się chwilę pomodlić, dziękując Panu Bogu, że pozwolił mi złożyć za ojczyznę ofiarę z wolności i polecając Mu całą moją rodzinę. Małżonka była przekonana, że tylko na kilka godzin mnie zabierają, ja natomiast byłem pewien, że na co

najmniej kilka miesięcy jeśli nie lat oraz że tymi aresztowaniami objęty jest cały kraj, bo przecież ja byłem w „Solidarności” Śląskiej pionkiem, więc jeśli mnie zamykają, to na pewno wszystkich ode mnie ważniejszych...

Zawieźli mnie reprezentacyjną czarną „Wołgą” do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej (MO) w Częstochowie. Stało tam sporo takich jak ja internowanych, ale mnie zupełnie nieznanymi, gdyż ja działałem na terenie województwa katowickiego. Po wylegitymowaniu zapakowali nas do „suk”, czyli więźniarek i wieźli w nieznanym kierunku. Wszyscy tam palili, że aż sino było od dymu, a mnie się zbierało na wymioty. Zawieźli nas nad ranem do więzienia w Zabrze Zaborzu. Mnie wraz z Józefem Lamchem z Tomiszowic – działaczem „Solidarności” Rolników Indywidualnych wpakowali do celi z jedną piętrową pryczą bez materacy i bielizny pościelowej, ale z otwartym oknem, od którego oddzielały nas kraty oddalone od tego okna o jakiś metr. Nie można go było zamknąć, a na dworze mróz poniżej 10 stopni. Mnie głowę chciało rozsadzić po tej dwugodzinnej podróży w zadymionym samochodzie, a pana Józefa bolało serce, bo był po dwóch zawałach i tym bardziej doskwierał mu chłód, gdyż zabrali go z domu w stroju niekompletnym, w kalesonach i bez butów. Bowiem bronił się zaciekle przed aresztowaniem. Dzielny, szlachetny człowiek i niezłomny działacz „Solidarności” RI, a przede wszystkim wielki patriota.

Dopiero wieczorem w niedzielę przenieśli nas do wieloosobowej celi, w której spotkałem sporo kolegów z „Solidarności” hucianej, a także Kazia Trojana. Oni mnie znali i mogli kolegów z Częstochowy przekonać, że nie jestem jakąś „wtyką”. W składzie osobowym tej celi znalazło się kilku znakomitych opowiadaczy dowcipów, że boki można było zrywać do późnej nocy. Był też tam z nami górnik o imieniu Waldemar, który niedawno, bo w „Barbórkę” dostał order Sztandar Pracy II klasy, jedno z najwyższych odznaczeń w PRL-u. My wszyscy i on sam byliśmy przekonani, że internowali go przez pomyłkę. Przesiedział z nami kilka dni opowiadawszy sporo śląskich dowcipów, a przed wyjściem z więzienia zwrócił się do nas ze słowami: „Panowie, jo dziynkuja Bogu, żech sie tu dostał, bo teraz wiym, że to cygaństwo, co godali, że Solidarność miała strzylać do partyjnioków”.

Jednak nie wszyscy byli tak optymistycznie nastawieni do otaczającej ich rzeczywistości. Zwłaszcza ci, którzy chcieli zrobić w „Solidarności” karierę snuli się smętnie po korytarzu więziennym, a z ich twarzy można było wyczytać słowa piosenki z Kabaretu Starszych Panów: „*A tośmy, tośmy wpadli, A niech to wszyscy diabli...*” By jednak duch we współwięźniach nie upadał zawiesiliśmy krzyż (wykonany z desek więziennej pryczy) na kracie zamykającej nasz korytarz. Kazali nam go zdjąć, ale nikt z nas ani spośród strażników więziennych

nie odważył się tego zrobić. A co najważniejsze, każdego wieczoru, około godziny 21, gdy ludzie wracali z drugiej zmiany lub szli na nocną, zbieraliśmy się na apel wieczorny, który rozpoczynaliśmy pacierzem, a potem śpiewaliśmy przez dobre pół godziny pieśni kościelne i patriotyczne, zwłaszcza te, które władza ludowa zabraniała śpiewać. Na ten czas otwieraliśmy wszystkie okna, by całe Zabrze nas słyszało. Wyobraźcie sobie, jaka to była siła – ponad sto męskich głosów! Nie muszę nikogo przekonywać, że w ten śpiew bardzo się angażowałem. Po kilku dniach naszego gromkiego śpiewania o stałej porze słyszeliśmy, że pod murem więzienia gromadzą się ludzie.

Na kilka dni przed Wigilią Bożego Narodzenia zamknęli też z nami księdza Stanisława Gębkę, pochodzącego z Będusza, co przyjęliśmy z wielką radością, spodziewając się, że w zbliżające się Święta - najbardziej polskie będziemy mogli uczestniczyć we Mszy św. Ksiądz Stanisław też miał taką nadzieję i dlatego wystąpił do władz więzienia o umożliwienie mu odprawienia mszy św. Jednak na dwa dni przed Wigilią ubecja zwolniła go z internowania.

Utworzyliśmy w tym więzieniu swego rodzaju władzę samorządową, której zadaniem było zredagowanie statutu internowanego i jego praw. Po kilku dniach statut i prawa internowanego znalazły się na biurku kierownictwa więzienia w Zabrzu Zaborzu. Żądaliśmy też od władz więzienia, by dały nam na piśmie prawne uzasadnienie faktu przetrzymywania nas w areszcie więziennym przez ponad dwie doby. I ku mojemu zdumieniu dali nam takie uzasadnienia zapewne wyjęte z teczek ubeków. Mnie napisali m. in., że jestem nacjonalistą polskim! Czyż mógłbym kiedykolwiek otrzymać wspanialszą pochwałę mojego patriotyzmu. K. Trojanowi, który angażował się w Ruchu Obrony Życia napisali, że jest fanatykiem religijnym. Jednemu z przewodniczących Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” napisali, że cieszy się sympatią i uznaniem załogi! Niestety, następnego dnia odebrano nam te uzasadnienia, a przecież wystarczyło tylko powiedzieć, że je wyrzuciłem.

W dzień przed Wigilią kazali nam się spakować, tzn. wszystko, co nasze zgarnąć do prześcieradła i uczynić z niego swoisty worek, w gwarze więziennej zwany mandżurem. Grudniowym wieczorem, bo już było ciemno, kazali nam wyjść przed barak więzienny, a tam czekał już na nas szereg suk. Między pierwszą suką a schodami wejściowymi do baraku stało kilkunastu strażników albo milicjantów – nie wiem, było ciemno – z pałkami w rękach, którzy drwiąco do nas szczyrzyli zęby, więc nikt się nie kwapił iść pierwszy, a ci jakby z radością uderzali tymi pałkami o wewnętrzną stronę swej lewej dłoni. Pomyślałem sobie, że to wstyd okazać przed nimi strach, więc wciągnąłem wysoko, aż na głowę swój mandżur i ruszyłem pierwszy do suki. Nikt mnie nie uderzył. Za mną poszła reszta.

Późnym wieczorem byliśmy już w więzieniu w Raciborzu. To było prawdziwe Alcatraz. Mury więzienia były ponad metrowej grubości, tak że ja, chcąc zobaczyć przez luksfery jakie jest niebo podciągałem się do samych krat więziennego okienka, a kolana miałem jeszcze na krawędzi muru. Okienko było okratowane prętami grubości około 3 cm. Siedzieliśmy w celach czteroosobowych z „kibelem” w środku. Między piętami była zawieszona siatka na klatce schodowej. Codziennie mieliśmy półgodzinny spacer na spacerniku, bo o wyjściu na korytarz nie było co marzyć. W celi, w której przyszło mi spędzić kilka tygodni byli osadzeni oprócz mnie: pracownik Politechniki Gliwickiej – dr Grabowski zajmujący piętro pryczy nad Ciepiałą. Ja zajmowałem również piętro pryczy nad byłym wychowankiem domu dziecka (nie pamiętam jego imienia ani nazwiska). Nasi koledzy z dolnych pryczy, absolwenci szkół zasadniczych namiętnie grali w „Chińczyka”. Gdy im się już pod wieczór gra we dwójkę znudziła, wręcz nas błagali, byśmy z nimi zagrali. Właściwie nasza rola ograniczała się tylko do rzucania kostką do gry, gdyż oni poprzez wielogodzinne granie doszli do takiej wprawy w liczeniu, sumowaniu punktów i stawianiu bierek na właściwym miejscu, iż nasze mało wprawne działania w tym zakresie irytowały ich na tyle, że nas w tym zastępowali. Śniadania, obiady i kolacje mieliśmy wydawane o ściśle określonej porze z taką punktualnością, że można było według nich regulować zegarki. Toteż, gdy pod koniec stycznia spóźniono się ze śniadaniem o kwadrans, byliśmy przekonani, że coś niezwykłego wydarzy się tego dnia.

I rzeczywiście, przewieziono nas wtedy do więzienia w Jastrzębiu-Szerokiej. Więzienie to wspominam jako najgorsze, ze względu na panujące tam zimno i wilgoć. W naszej celi „zamieszkałej” tylko przez czterech internowanych – po uwolnieniu Jurka Hilbrychta pojawiły się przy oknie sople, gdyż pęknięty kaloryfer nie grzał, a nasza czwórka nie była w stanie wystarczająco jej zagrząć ciepłem własnych ciał. Więc, gdy po miesiącu, na przełomie lutego i marca dokooptowano do nas czterech górników z „Wujka”, jeszcze tego wieczoru owe sople znikły. Spaliśmy w tych warunkach we wszystkim, co można było na siebie ubrać, a w ciągu dnia siedzieliśmy w wymiennikowni ciepła. W tych okropnych warunkach był przetrzymywany również Jerzy Krzempek, działacz „Solidarności” cierpiący na postępujący gościec i dlatego mógł się poruszać jedynie o kulach. Lekarze kilkakrotnie interweniowali u władz więziennych, by nie przetrzymywali go w takich warunkach. Sprzyjają one bowiem rozwojowi choroby, tak że może on utracić nawet władzę nad układem wydalniczym. Na to ubecy za każdym razem proponowali mu współpracę za cenę uwolnienia! Moją celę dzieliłem z czterema kolegami: wspomnianym wyżej J. Hilbrychtem,

Włodkiem Forysiem i Bargielem z „Solidarności” Bielsko-Bialskiej oraz Gabrielem (zapomniałem nazwiska) z Politechniki Gliwickiej. J. Hilbrycht był lekarzem i o jego uwolnienie strasznie zabiegała jego żona. Był ponadto utalentowanym rysownikiem i na potrzeby naszej więziennej kaplicy zorganizowanej w innej pustej, więc nieogrzewanej celi, narysował czternaście stacji drogi krzyżowej, symbolicznie ukazujące ich istotę. Tam też po raz pierwszy podjęliśmy rozważania na temat encykliki Jana Pawła II „Laborem exercens” oraz poszczególnymi księgami Pisma Świętego, które kontynuowaliśmy do ostatnich dni naszego internowania. W. Forys był przesympatycznym doktorem ekonomii świetnie grającym na gitarze, z którym dane mi było dzielić losy internowanych aż do Łupkowa włącznie (wyszedł pewnie w listopadzie na wolność i wyjechał do Kanady ze swą dopiero co zaślubioną małżonką).

Nasze więzienie w Jastrzębiu-Szerokiej odwiedzili dwaj wybitni hierarchowie: bp Herbert Bednorz – ordynariusz katowicki oraz kard. Franciszek Macharski – metropolita krakowski. W czasie wizyty bpa H. Bednorza, K. Trojanowi udało się nakłonić go, by zezwolił wnieść na teren więzienia zakonsekrowane Hostie święte. W sobotę na widzeniu były już w naszej więziennej „Kaplicy”, w której podjęliśmy czuwanie przed Najświętszym Sakramentem, aż do radiowej Mszy św. w niedzielę. Jakaż była nasza radość, gdy w czas komunii po raz pierwszy od 13 grudnia mogliśmy przyjąć Ciało Chrystusa. Zostaliśmy za to ukarani przez władze więzienne, co przyjęliśmy z wielką dumą.

Dopiero w Jastrzębiu -Szerokiej miałem pierwsze widzenie z żoną Czesławą i córką – moim ukochanym Zuzikiem – to był jej drugi przykry kontakt z wielką polityką. Mimo że moja małżonka była w zaawansowanej ciąży z Bożysiem, to myszkowska Komenda MO uznała za stosowne zwozić ją co do miejsca mojego aktualnego pobytu, w związku z czym odwiedziła najpierw więzienia w Zabrze-Zaborzu i w Raciborzu! Takie milicyjne chamstwo.

23 marca w południe zapakowali nas do „suk” i powieźli w nieznanym kierunku. Koledzy z krakowskiego poznali przez sufitowy wywietrznik, że wiozą nas przez Kraków dalej na wschód.. Czyżby zatem miała się realizować owa optymistyczna wersja losów opozycji antykomunistycznej, że pojedziemy na Syberię (wersja pesymistyczna zakładała, że tam dotrzemy piechotą)? Późnym wieczorem zajechaliśmy do więzienia w Tarnowie, gdzie nas uraczyli herbatą i powieźli dalej na wschód. Gdy udręczeni wielogodzinną podróżą nareszcie opuszczaliśmy suki z mandżurami, powitały nas gromkie śpiewy naszych kolegów z „Solidarności” rzeszowskiej. To była jeszcze Polska – Uherce Mineralne w Bieszczadach! Nareszcie w miarę ciepło w celach i możliwość całodziennego pobytu na spacerniku. Tam poznałem mojego serdecznego

przyjaciela – już śp. Waldka Mikołowicza z Jarosławia i wielu, wielu innych z całego południa Polski. Tam też nareszcie mieliśmy Mszę św. w niedzielę i święta. Oczywiście urządziliśmy w jednej z cel stałą kaplicę. W Wielki Piątek dane mi było poprowadzić całą „drogę krzyżową” pod stacjami narysowanymi przez J. Hilbrychta. Tam też od kolegów z Podkarpacia nauczyłem się śpiewać „Gorzkie żale”. A potem była Wielkanocna Rezurekcja w więziennych murach, na której zebrało się co najwyżej dwie trzecie internowanych. Wkrótce też nastąpiły nabożeństwa „Majowe”, które dane mi było prowadzić. To był piękny czas. Wolno było posiadać instrumenty muzyczne, więc koledzy przygrywali do melodii litaniijnej. Podobnie było też podczas nabożeństw czerwcowych.

Szybko i mocno zżyliśmy się z naszymi kolegami z „Solidarności” Podkarpaciej. Toteż, gdy chciano ich wywieźć w nieznaną, sprzeciwiliśmy się temu zamiarowi, barykadując łózkami metalowymi wejście do naszego więziennego budynku, gdzie oni z nami byli uwięzieni. Suki odjechały tym razem bez nich. Wkrótce na takie dictum acerbum ubecja odpowiedziała prowokacją. Nasz więzienny kolega, cierpiący na klaustrofobię, kilkakrotnie chciał sobie odebrać życie. Gdy nareszcie, według relacji współlokatorów jego celi, chciał się powiesić, co w ostatniej chwili udaremnił jego koledzy, a ubecja na zgłaszane do władz więziennych protesty odpowiadała jak zwykle propozycją współpracy, postanowiliśmy się zbuntować. Nadarzała się ku temu świetna okazja, gdy potężna cysterna z wodą stawała się z godziny na godzinę coraz bardziej pusta, aż dawała donośny, wręcz ogłuszający dźwięk. Koledzy owinąwszy sobie głowy jakby turbanem, by nie ogłuchnąć od tego cysternianego dzwonu, walili weń zapamiętale i na zmianę. Dźwięk był zaiste ogłuszający skoro w budynku przy zamkniętych oknach i drzwiach z wielkim trudem można się było, wrzeszcząc, porozumieć. Gdy już tak przez dobrą godzinę podzwoniliśmy sobie, jeden z kolegów, który po czasie okazał się prowokatorem rzucił propozycję, by rozpaść wielkie ognisko! Ale czym palić? Niektórzy w tym buntowniczym nastroju poświęcili nawet swoje materace i krzesła. Wtem, co trzeźwiejsi koledzy zauważyli, że na „kogutkach”, tj. wieżyczkach strażniczych nie ma strażników, a zawsze tam byli, dzień i noc. Okazało się też, że w naszym budynku nie ma strażników, ba!, nie ma ich nawet na bramie głównej. Wtedy ów prowokator zawołał: „To uciekajmy!” Lecz wówczas najroztropniejsi, w tym K. Trojan, powiedzieli stop! To może być prowokacja. A może komuna padła, a my tu niepotrzebnie siedzimy? Poszło kilku wtajemniczonych posłuchać radia ukrytego w maszynie do golenia. Po pół godzinie wrócili oznajmiając, że komuna niestety trzyma się mocno. To co robimy? Idziemy spać. Kilku niech pilnuje, co się będzie działo. W godzinę później, gdy się już zrobiło dobrze

ciemno, otoczyli nasze więzienie milicjanci, w pół godziny po nich zomowcy, w końcu późną już nocą przyjechali żołnierze. Wkrótce, to był koniec kwietnia, spadł śnieg, a ci żołnierze byli w letnim umundurowaniu. Było nam ich żal, bo przecież służby w wojsku nikt sobie w tamtych czasach nie wybierał, każdy zdrowy mężczyzna musiał dwa lata odsłużyć „ku chwale ojczyzny”. I tak całą noc stali, a myśmy smacznie spali, z wyjątkiem kilku czuwających. Rano, około godziny ósmej zauważyliśmy formujące się przy bramie wjazdowej oddziały strażników więziennych. Co odważniejsi zgromadziliśmy się na spacerniku, by ich powitać naszą wiązaną pieśnią patriotycznych, których w PRL-u nie wolno było śpiewać oraz pieśnią antysowieckich i antykomunistycznych. Weszli i krokiem marszowym skierowali się ku naszemu budynkowi. Gdy byli już bardzo blisko podjęliśmy śpiew Mazurka Dąbrowskiego. Stał tam między innymi Rysiu Kuszłyko, który wyraził zdziwienie, że tak mało nas na tym spacerniku. A oni nam namiętnie robili zdjęcia. Weszli do budynku. My za nimi, a tam tłum naszych, a więc nie spali, lecz czekali z podwiniętymi ogonami. Do pomieszczenia strażników, gdzie siedzieli ubecy, weszli dowódcy formacji otaczających przez całą noc nasze więzienie. I tam ku naszej satysfakcji podpułkownik czy może major rugał tych naszych ubeków używając najordynarniejszych słów, a myśmy jeszcze zza drzwi go zachęcali odzywkami w rodzaju: „a w ryja go”.

Dzięki roztropności naszych kolegów najbardziej poturbowana ciężkimi wyzwiskami okazała się ubecja. W kilka tygodni po tych zdarzeniach nasz internowany kolega wracający z przepustki do naszego więzienia był świadkiem rozmowy współpasażerów pociągu, w której mówiono o wielu ofiarach pacyfikacji naszego więzienia. Gdy zaś nasz kolega usiłował zdementować te hiobowe wieści jako autentyczny uczestnik tych wydarzeń, nie uwierzyli mu, a na okazaną im przepustkę z więzienia w Uhercach, uznali, że taką każdy ubek może sobie załatwić. Taki był wówczas stan gotowości bojowej narodu i absolutny brak zaufania do władzy ludowej. I to wszystko zmarnował kapuś Wałęsa i jemu podobni!

Gdzieś w końcu kwietnia, w miejsce naszych kolegów z „Solidarności” krośnieńskiej, przemyskiej i rzeszowskiej osadzono kolegów z „Solidarności” kieleckiej i krakowskiej. Koledzy z Kielecczyzny: Edmund Sarna, Jurek Stępień i Stasiu Żak okazali się wspaniałymi przyjaciółmi, którzy wnieśli wiele dobra w życie naszej więziennej wspólnoty. Śp. E. Sarna parał się metaloplastyką wykorzystując blachę pozyskiwaną z konserw. J. Stępień grywał nam na saksofonie i gitarze, a S. Żak dawał fenomenalne wykłady z historii literatury opatrując je cytatami z pamięci, niejednokrotnie budzącymi podziw częstotliwością i obszernością. Słuchało się go z ogromną przyjemnością,

a znajomość z nim przetrwała aż do późnych lat 90. Był on senatorem przez dwie pierwsze kadencje.

Natomiast koledzy z Regionu Małopolskiego mieli jakiegoś przywódcę bardzo nie zrównoważonego, który wzywał nas do permanentnego buntu przeciw władzy więziennej jako substytutu władzy państwowej, a efektem tego buntu powinna być ruina tego więzienia, z którego nie powinien pozostać kamień na kamieniu. Pewnie to on właśnie, co pewien czas wieczorami i nocą na całe gardło wrzeszczał „alarm!”, aż wreszcie spotkał się z zapowiedzią jednego ze współwięźniów, który onegdaj odsiedział wieloletni wyrok za zabójstwo w afekcie, że gotów jest odsiedzieć drugie tyle za ucieszenie na zawsze tego, który ryczy po nocy idiotyczne alarmy. Poskutkowało, ale zamiast tego w ramach buntu nasrał w nocy na skrzyżowaniu korytarzy więziennych. A gdy i to spotkało się z naszą dezaprobatą owi buntownicy wszystkie śmieci wyrzucali przez okno zamiast do kosza, tak że po pewnym czasie można było bez trudu wskazać celę należącą do nich. Był to dla nas – działaczy „Solidarności” wielki wstyd, kompromitacja naszego ruchu!

Od 13 marca przyjęło się obchodzić miesięcznice naszego internowania. W związku z tym zaproponowałem kolegom, by 13 maja odstąpili od tego zwyczaju ze względu na pierwszą rocznicę zamachu na Jana Pawła II i w podziękę za uratowanie mu życia odmówili „Anioł Pański”. Koledzy jednak nie chcieli słyszeć o tym, by miesięcznicę swojej było nie było klęski zastąpić dziękczynieniem w rocznicę zwycięstwa Maryi nad skrytobójczym zamiarem mocodawców Ali Agcy. Anioł Pański odmawiałem tylko ja z Waldkiem Mikołowiczem. Reszta świętowała swoje uwięzienie. W tydzień później od K. Trojana dowiedziałem się, że właśnie 13 maja urodził mi się syn – ma się rozumieć – Bożydar. Wielki jest Bóg, który w szczodroblewości nie pozwoli się prześcignąć człowiekowi. Podła ubecja telegram o narodzinach Bożydara dostarczyła mi w ostatnich dniach maja, kiedy na interwencję bpa H. Bednorza otrzymałem przepustkę na chrzest mojego syna. Ubecja była zdolna do jeszcze większej podłości. Oto telegram o śmierci rodziców naszego kolegi, którzy zginęli w wypadku samochodowym, przekazali mu wiele dni po ich pogrzebie.

Pewnie w czerwcu przybyła do nas delegacja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Znalazło się kilku kolegów znających dobrze francuski, którzy tłumaczyli nam, to co mieli nam do powiedzenia ci dygnitarze, a trzeba przyznać, że spodziewaliśmy się wiele po tej wizycie. Po wstępnych kurtuazjach zakomunikowaliśmy im, że znaczna część pomocy, jaka przychodzi od nich dla nas, jest zawłaszczana przez SB i cały aparat represji, o czym świadczy m. in. fakt paradowania strażników więziennych tego więzienia w ubraniach przysłanych dla nas z Finlandii i że w tej sytuacji domagamy się z ich strony

interwencji. Na to oskarżenie i żądanie wypowiedziane przez nas w obecności komendanta więzienia i oficerów SB szef owej delegacji odpowiedział, że oni nie mają tu żadnej władzy i nie będą w tej sprawie interweniowali, bo za tą władzą stoi cały Związek Sowiecki. Po tej wypowiedzi nastąpiło przejmująco długie milczenie. Lepiej, by w ogóle nie przyjeżdżali, niż mieli nam coś takiego powiedzieć. Zginiły Zachód już wtedy był przeniknięty agenturą komunistyczną i drżał na samą myśl o zbrojnej „wizycie” Sowietów w ich sytych ojczyznach.

Na początku czerwca, dzięki interwencji bpa H. Bednorza wyszedł na wolność K. Trojan żegnany przez nas bardzo uroczyście. Od tego czasu utarł się zwyczaj żegnania piosenką każdego internowanego wychodzącego na wolność. Tak było do 22 lipca. Po tym święcie podwójnej zdrady narodowej (najpierw Stanisława Poniatowskiego z targowiczaniem i kurtyzaną Katarzyną w 1792 roku, a następnie tzw. Rządu Lubelskiego ze Stalinem w 1944 roku ogłosił tzw. Manifest Lipcowy) nastąpiły tak masowe wypuszczenia, że wkrótce nie było komu grać i śpiewać piosenek pożegnalnych. W ostatnich dniach lipca każdy z nas miał do dyspozycji całą celę. Tyle nas zostało. I wtedy ów Ciepela, z którym siedziałem w jednej celi, w Raciborzu zadzwonił ze mnie, że tyle modlitw moich na darmo, że Pan Bóg widać głuchy na moje wołanie. Gdyby on wiedział jak ja sobie porozmawiałem z moim ubekiem, to by się pewnie nie dziwił, że mnie władza ludowa nadal pozostawiła w więzieniu z adnotacją, by mnie trzymać w odosobnieniu do końca stanu wojennego. A wszystko dlatego, iż temu ubekowi wyłuszczyłem czarne na białym, że ich postępowanie jest bezprawne, nielegalne, że komuna robi bokami i że nie minie dziesięć lat, gdy upadnie. Facet się bardzo na mnie wkurzył, wrzeszczał, nawet wyjął z kabury rewolwer czy pistolet i powiedział do mnie, że gdybym wystąpił o zmianę decyzji o internowaniu to może dałoby się coś zrobić. A ja mu na to, że odwoływanie się w tych warunkach byłoby jednoznaczne z uznaniem bezprawia jakiego się ta władza dopuściła. W sumie przez tę rozmowę zarobiłem drugie sześć miesięcy.

W pierwszych dniach sierpnia wywieźli nas do więzienia w Rzeszowie Załężu. Tam ponownie spotkałem W. Forsyia – ekonomistę, pracownika naukowego Politechniki Śląskiej oraz W. Mikołowicza. Tam po raz drugi odczułem, że jestem przez środowisko odrzucony, ponieważ nikt mi nie zaproponował zamieszkania z nim w celi. W takiej samej sytuacji znalazł się także R. Kuszleyko, Tadek Dudek oraz Kaziu Cieśla, więc zamieszkaliśmy razem w jedynej celi czteroosobowej i od tej pory mieszkaliśmy już razem aż do zwolnienia z internowania, a więc także w Nowym Łupkowie.

Tam do więzienia w Rzeszowie Załężu obiecał przybyć w święto Matki Bożej Jasnogórskiej ordynariusz częstochowski – śp. bp Stefan Bareła. Do tego

niebываłego wydarzenia poczyniliśmy stosowne przygotowania. Jakież było nasze zdziwienie, gdy rano 26 sierpnia nasze cele zastaliśmy po raz pierwszy zamknięte. Zaczęliśmy walić w drzwi czym popadło, a w większych celach – ośmioosobowych, ponieważ nie wszyscy mogli dorwać się do drzwi, w jednej z cel koledzy wpadli na pomysł, by metalowym łóżkiem walić w ścianę boczną celi. Jakież było ich zdumienie, gdy po kilku uderzeniach ściana się rozsypała, za którą ujrzeni zaskoczonych kolegów z sąsiedniej celi, którzy wkrótce pokonali następną ścianę, a za nią następną i następną, aż dotarli do niezamieszkannej celi, która z tego powodu nie była zaryglowana. Najszczuplejsi przedostali się do niej i wydostawszy się na korytarz pootwierali wszystkie nasze cele, gdyż strażnicy więzienni, nie chcąc słuchać wywołanego przez nas hałasu, opuścili nasze piętro. Wylegliśmy wszyscy na korytarz pełni oburzenia na władze więzienne, ale też podekscytowani mocno wyjątkowym obrotem sprawy. Kraty oddzielające korytarz od klatki schodowej opierały się tylko kilka minut przed naszym naporem i tak w chwilę później znaleźliśmy się pod drzwiami naczelnika więzienia. Naczelnik nie miał odwagi wyjść do nas, bo też wyzywaliśmy go od najgorszych, że nam zepsuł takie święto!

Wieczorem wywieźli nas sukami do Nowego Łupkowa. W drodze do kolejnego więzienia koledzy opowiadali, że spod tynku niektórych rozwalonych łózkami ścian ukazały się wiązki przewodów do podsłuchu więźniów, lecz najistotniejsza była zagadka tajemniczej słabości ścian działowych między celami. Czy to cud, czy może efekt naszego wyjątkowego wzburzenia, czy też może ściany tych naszych cel tak zostały wymurowane, że mogły się rozpaść pod każdym silniejszym uderzeniem. Koledzy istotnie widzieli jak licha była zaprawa wiążąca cegły rozwalonych ścian. Ktoś więc kradł cement przeznaczony na budowę rzeszowskiego więzienia, a więzienie było budowane w PRL-u i to przez samych więźniów. Lecz to nie więźniowie ukradli ów cement, a jacyś strażnicy więzienni lub może sam komendant więzienia. Skoro więc już sam aparat sprawiedliwości przeżarty był rakiem korupcji i oszustwa, to przecież ustrój socjalistyczny musiał mieć się ku końcowi. Ja wróżyłem mu upadek w ciągu dziesięciu lat, na co mam świadków. Pomyliłem się, ustrój upadł szybciej, lecz nie pod ciosami „Solidarności”, a w wyniku pazerności niedawnych towarzyszy PZPR chciwych majątku państwowego, który uważali za niczyj, a więc nadający się do rozgrabienia! I tak po 1989 roku byliśmy świadkami grabieży majątku narodowego na niespotykaną skalę!!! A kradli nie zwykli złodzieje, lecz złodzieje z tzw. klasą polityczną. W Nowym Łupkowie było nam najlepiej. Wprawdzie wróciły chłody, ale w każdej celi były włączone nasze domowe grzejniki, więc nie było nam zimno, a ponadto przychodziło

do nas tyle różnych darów, że nie można było tego przejeść, zatem ich część przekazywaliśmy rodzinom na widzeniach.

Do Nowego Łupkowa trafiliśmy 27 sierpnia nocą. Niewiele więc mieliśmy czasu, by zorganizować obchody drugiej rocznicy powstania NSZZ „Solidarność”. Postanowiliśmy zawiesić na wysokiej na 20 m latarni białą flagę z charakterystycznym czerwonym napisem „Solidarność”. Flagę wykonał W. Mikołowicz, którego warsztat drukowania tkanin i papieru pracował do późnych godzin nocnych, dzień w dzień, czekała więc 31 sierpnia na śmiałka, który zawiesi ją na owej latarni. Uczynił to wczesnym rankiem Tadek Dudek – niezwykle sprawny fizycznie student V roku matematyki. Flaga łopotała radośnie od rana nad całym naszym więzieniem, a pod latarnią, jakby pod masztem, przeprowadziliśmy uroczysty apel ze śpiewami zakazanych pieśni patriotycznych.

Wkrótce zjawił się u nas komendant więzienia z żądaniem, byśmy zdjęli tę naszą flagę. Oczywiście spotkał się z negatywną odpowiedzią. Komendant rozumiał, że sam będzie musiał ją zdjąć, ale jak to zrobić bez „zwyżki”, czyli drabiny mechanicznej? Sprowadzenie jej z Rzeszowa odpadało, gdyż trzeba byłoby się przyznać do niedostatecznego sprawowania nadzoru nad więźniami! Wobec takiego dictum acerbum pan komendant pofatygował się do nas ponownie z propozycją polubownego załatwienia sprawy. Koledzy wytargowali od niego sporo ułatwień w naszym więziennym życiu, tj. udostępnienie za dnia całego obszaru więzienia dla internowanych, była swoboda wychodzenia z baraku więziennego przez cały dzień, była swoboda rozmów podczas widzeń z rodzinami. Gdy zaś komendant spróbował się wycofać z tych swoich zobowiązań i zamknął nas w naszym baraku, wówczas nauczeni doświadczeniem rzeszowskim wywaliliśmy łózkami metalowymi okno korytarzowe, przez które wyszliśmy na zewnątrz i dotarliśmy do komendanta, by go zapytać o obyczaj dotrzymywania słowa. Więc już się incydent z zamykaniem baraku nie powtórzył.

Wielkie wzburzenie wywoływało we mnie opalanie się niektórych naszych kolegów całkiem nago z wywalonymi bezwstydnie genitaliami. Oburzało nas to nie tylko ze względów religijnych, ale także w trosce o naszą opinię. Przecież władze więzienne mogły bez trudu sfotografować tych błaznów i wysłać zdjęcia do ich Komisji Zakładowych NSZZ „Solidarność” i opublikować je w reżimowej prasie! Tego tylko nam jeszcze brakowało. Całe szczęście skończyły się ciepłe dni, a wraz z nimi warunki do opalania. Ta nonszalancja wielu internowanych pozwoliła przefarbować się komunistom we właścicieli mediów, zakładów pracy, uczelni itd. We Mszy św. niedzielnej, którą odprawiał ksiądz z Łupkowa, uczestniczyło mniej niż jedna trzecia kolegów, mimo że

w pantoflach mogli na nią przyjąć, bo się odprawiała za ścianą ich celi! Nic więc dziwnego, że taka „Solidarność” dała się łatwo omotać, wciągnąć w lewe interesy i wykorzystać jako agentura SB.

W Łupkowie szła na całego produkcja zakazanej bibuły, znaczków poczty więziennej, makatek z Mickiewiczowskim tekstem „*Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem, Polska jest Polską, a Polak Polakiem*”. Tutaj też nagrywaliśmy dla rodzin śpiewane przez nas zakazane i patriotyczne piosenki, rozpoczynające się „Bogurodzicą”. Od początku grudnia rozpoczęły się liczne wyjścia kolegów na wolność. Naszą celę opróżnili jednego dnia, tj. 11 grudnia. Najpierw wyszedł T. Dudek, potem R. Kuszłyko, na końcu autor tych wspomnień. Ze względu na późną porę otrzymania decyzji o zwolnieniu z internowania mogłem jedynie dojechać do Zagórza i tam czekać do rana na pociąg do Katowic albo też zatrzymać się u sióstr w słynnej Komańczy – ostatniego miejsca internowania Prymasa Tysiąclecia – kardynała Stefana Wyszyńskiego. Oczywiście nocowałem u sióstr, by we wczesnych godzinach niedzielnych ruszyć pociągiem wprost do Częstochowy – na Jasną Górę, najpierw podziękować Matce Bożej i Królowej Polski za uwolnienie z więzienia i za moją rodzinę, za Zuzię i za Bożydara. Zdażyłem na Prymarię, na Mszę św. odpustową z 8 grudnia – Święta Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. A potem powrót do domu, do Myszkowa na Strażacką i wielka radość półrocznego Bożysia, że gdyby umiał, to by z wózka dziecięcego wyskoczył!

Potem powrót do pracy, do Huty „Katowice”, lecz tu zaskoczenie – mam do wybrania dwa miesiące urlopu, więc dopiero w lutym mogę podjąć pracę. I zamiast czas ten przeznaczyć na jakieś remonty, na rozmowy z rodziną, co dalej robić, zacząłem szukać zatrudnienia w szkolnictwie. Nie konsultując swej decyzji z nikim zwolniłem się z Huty Katowice i zatrudniłem w Domu Chłopców w jakiej miejscowości prowadzonym przez siostry zakonne. Starałem się wywiązywać z moich obowiązków jak najlepiej. Jakież było moje zaskoczenie, gdy w czerwcu otrzymałem od siostry dyrektor wypowiedzenie z pracy bez podania istotnych przyczyn. Nie była to jednak szkoła podległa Ministerstwu Oświaty i Wychowania, więc decyzja siostry dyrektor nie mogła być podważona. Zostałem bez pracy.

Od nowego 1984 roku zaangażował mnie na stanowisko katechety ks. Marian Gołąbek. To była jego wielka odpowiedzialność, której podjął się pod namową J. Lamcha. To działanie Opatrzności Bożej, która zamiast soczystego klapsa dała mi nową szansę! Przecież ja nie miałem żadnego przygotowania katechetycznego, które uzyskałem dopiero podczas dwumiesięcznego kursu w Instytucie Teologicznym w Częstochowie. Za odwagę zaangażowania mnie do

nauki religii drogo zapłacił proboszcz parafii Najświętszego Serca Jezusowego w Sokolnikach. Ubecy rozpuścili pogłoskę o rzekomym gwałcie homoseksualnym na młodym mieszkańcu Dobrogoszczyc, który wraz ze swą narzeczoną dał właśnie na zapowiedzi o zamiarze zawarcia małżeństwa. Gdy się o tym dowiedziałem, natychmiast udałem się do rzekomej ofiary gwałtu, gdzie był wielki lament z powodu wstydu, jaki mu zrobiła ubecja puszczając w świat kompromitujące kłamstwo. To była ohydna zemsta ubecji za wykazanie przed sądem, że wybory do sejmu na terenie gminy Niegowa zostały sfalszowane, gdyż do lokali wyborczych przybyło tam znacznie mniej obywateli niż podano do wiadomości. Ksiądz M. Gołąbek widząc z jaką szybkością rozniosła się wieść o jego rzekomym gwałcie i jak parafianie dali jej wiarę, postanowił opuścić nie tylko swoją parafię, ale ojczyznę i osiadł jako misjonarz w Kanadzie.

Po latach wielu moich kolegów zadawało sobie pytanie: „Czy warto było tak się poświęcać?” Przecież nasi ideowi przeciwnicy, ci którzy nas zamykali w więzieniach wykorzystali moment upadku tzw. „Komuny”, by się uwłaszczyć na naszym narodowym majątku, jak Putin i jego koledzy czekałsi na majątku „matuszki Rosji”. Lecz Putin służy Rosji i za to Rosjanie go cenią.. A u nas tysiące zlikwidowanych mniejszych i większych i ogromnych zakładów, fabryk, lasów, ziem, bo przeszkadzały, konkurowały swą produkcją z zachodnimi markami.

Zatem czy warto było? Ponieważ od początku nie liczyłem na żadne profity, a poszedłem walczyć o należne nam prawa, bo Ojczyzna wzywała, bo naród po wizycie Ojca Świętego – Jana Pawła II podnosił się z kolan, więc nic nie straciłem skoro liczyłem tylko na to, że się wybijemy na niepodległość, a to się chyba teraz właśnie dokonuje. Jesteśmy biedni jako naród, do gołej skóry oskubani, ale suwerenni i tak trzymać. A nasza młodzież, ta najzdolniejsza, gdy zobaczy, że nasz Kraj, Najjaśniejsza Rzeczpospolita, Królestwo Chrystusa Króla odnosi sukcesy, nabiera sił, wróci wkrótce bogatsza o znajomość języka i doświadczenia wyniesione stamtąd, bo będzie miała do czego wrócić.

